



Polly i Mac Majcher.

Fot.
A. Drozdowski

Londyńskie męty w krakowskiej „Grotesce”

Przywołując dziennikarska nakazuje w pierwszych słowach stwierdzić wzorem wszystkich szanowanych recenzentów krakowskich, że Brecht był wielkim pisarzem, a teatr jego rewolucyjnym był. A „Opera za trzy grosze” prokiem teatru tego była i po raz pierwszy pokazała na scenie lumpen-proletariat przeobrażony sztukę XVIII-wiecznego pisarza angielskiego Gaya, co stało się w 1929 r.

A więc do rzeczy. Czy warto iść do „Groteski” na przedstawienie „Opery za trzy grosze”? Warto. Warto wziąć też żonę lub męża, teściową, szwagra, dzieciętki od jakichś 10 lat w górę, a nawet kupić bilety gościom, którzy właśnie mają przyjść do nas w piaskim zamiarze gry w karty lub picia herbaty.

A dlaczego warto poświęcić wieczór „Grotesce”? Dlatego, że „Opera za trzy grosze” jest uroczą sztuką. Akcja toczy się w środowisku londyńskich mętów. Występują i król bandytów — wytworny Mackie-Majcher i król żebraków Jonatan Pryszcz i piękna Polly i groźny komisarz policji i „takie panie”. Wszystkie postacie autor nakreślił z prawdziwym

psychologicznym mistrzostwem i dużą dozą humoru.

Oprócz powierzchownej akcji świetnie zrobionej z punktu widzenia roboty teatralnej autor ma dużo do powiedzenia w najważniejszych ludzkich sprawach, a w dodatku mówi to w ten sposób, że nikt nie posądza go o chęć moralizowania.

Jak wyszła „Opera” w interpretacji lalkowo-ludzkiej, bo wraz z kukielkami gra para żywych aktorów? Chyba nadszodziejanie dobrze. W ogóle kukielki poruszane wprawny mi rękami potrafią dokazać nieraz więcej niż żywi aktorzy. Mianowicie potrafią one rzeczy, z którymi żywi aktorzy mają trudności, bo rezultat może być sztuczny, ckliwy, lub wprost niesmaczny. Kukielki mogą się wieszać na szubienicy, pokazywać niekształcone kikuty rąk i nóg, bić się i wyzywać, a nigdy nie będzie to naturalizm. Nie znaczy to, broń Boże, że w wykonaniu aktorów tak będzie.

Nie, chodzi mi po prostu o to, żeby udowodnić, iż są takie sytuacje sceniczne, gdzie lalka walcowerem zwycięża żywego aktora.

A trzeba wiedzieć, że lalki z „Opery” odznaczają się niezwykłą urodą sceniczną i potężną porcją życia. Lidia Minticz wyposażyła je w tak charakterystyczne twarze, dała im tak świetne figury i szatki, że nie sposób wyobrazić sobie czegoś lepszego i zabawniejszego jednocześnie.

Kazimierz Mikulski z bardzo małej ilości przedmiotów potrafił wyczarować nastrojów wewnątrz, w których toczy się akcja.

Reżyseria Zofii Jaremojej ciekawie wyodrębniła dwa dna widowiska. Jedno — historia Mackie-Majchra rozgrywa się wśród lalek, drugie — piosenki, w których autor ma tak dużo i tak trafnie do powiedzenia wykonują żywi aktorzy (Halina Skaza, Leszek Kubanek).

Ze słynnych song Brechta

dużo obcięto. Ale i tak to co pozostało daje pojęcie o stylu Brechta i o wspaniałej muzyce Kurta Weila. Muzyka ta napisana specjalnie dla „Opery” tak się z nią zżyła, że oba elementy stanowią już jedną całość.

Ze zespół „Groteski” to zdolni lalkarze o tym ostatecznie wiedzą nawet gołębie na placu Mariackim, ale że w razie potrzeby zespół ma też dobry głos i słuch to bardzo cenna nowość.

Trzeba by coś napisać o poszczególnej aktorach. Ale co kiedy naprawdę wszyscy są świetni.

Zamiast tego mili Czytelnicy, którzyście doczytali do tego miejsca, pomyślcie jak to trudno być aktorem — lalkarzem. Trzeba mówić, śpiewać i tańczyć trzymając ciężką lalkę w wyciągniętych rękach, a nigdy nie ma się tej powierzchownej satysfakcji, że widzowie znają ich twarze, że zdjęcia ich są gdziekolwiek reprodukowane, że o aktorze ktoś powie np. „gra do bani, ale co za nogi”.

Idźcie więc na „Operę za trzy grosze” i klaszczcie co najforniej za trzy złote.

ZASTĘPCA